NA NIEDZIELĘ

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego.“ Wychodzi co tydzień.

Nr. 49. | Bydgoszcz, niedziela 12 grudnia 1909. | Rok II.

Na niedzielę trzecią Adwentu.

Lekcya.

Filipp. IV. 4—7.

Bracia, weselcie się zawsze w Panu; powtóre mówię: weselcie się. Skromność wasza niech będzie wiadoma wszystkim ludziom; Pan blisko jest. Nie troszczcież się o nic, ale we wszelkiej modlitwie i prośbie z dziękowaniem niech żądania wasze będą u Boga oznajmione. A pokój Boży, który przewyższa wszelki zmysł, niechaj strzeże serc waszych i myśli waszych w Chrystusie Jezusie, Panu naszym.

Ewangelia.

Mat. I. 19—28.

W on czas posłali Żydowie z Jeruzalem Kapłany i Lewity do Jana, aby go spytali: ktoś ty jest? I wyznał, a nie zaprzał; a wyznał, żem ja nie jest Chrystus. I spytali go: cóż tedy? Jesteś ty Eliasz? I rzekł: nie jestem. Jesteś ty Prorok? I odpowiedział: nie. Rzekli mu tedy: Któś jest, żebyśmy dali odpowiedź tym, którzy nas posłali? Co powiadasz sam o sobie? Rzekł: Jam głos wołającego na puszczy: Prostujcie drogę Pańską, jako powiedział Izajasz Prorok. A którzy byli posłani, byli z Faryzeuszów. I pytali go, a mówili mu: Czemuż tedy chrzcisz, jeśliżeś ty nie jest Chrystus, ani Eliasz, ani Prorok? Odpowiedział im Jan, mówiąc: Jać chrzcę wodą, ale w pośrodku was stanął, którego wy nie znacie. Tenci jest, który za mną przyjdzie, który przedemną stał się: któregom ja niegodzien żebym rozwiązał rzemyk u trzewika jego. To się działo w Betanii za Jordanem, kędy Jan chrzcił.

Błogosławieni miłosierni.

Pewnego zimowego wieczora, wśród mroźnej zawiei, zapukał ktoś do drzwi samotnego dworku, a gdy Ludwika, młoda siostrzenica pani domu, będąca przypadkowo w sieni, drzwi otworzyła, ujrzała przed sobą młodego mężczyznę, proszącego o przytułek na tę noc. W tej chwili nadbiegła pani domu, kobieta zimna, bez serca, i oświadczyła, że w swoim domu włóczęgów nie przyjmuje, drzwi przed nim zatrzasnęła. Nieznajomy oddalił się, ale zaraz powrócił i znowu zapukał nieśmiało. Rozgniewana otworzyła pani, trzymająć w ręku zapaloną świecę i przypatrywała się nieznajomemu, który był wysokiego wzrostu, wysmukły, jasne miał włosy, duże niebieskie oczy, ale był blady i wycieńczony.

— Jak daleko, proszę pani, aż do najbliższego dworu, albo wsi? — zapytał drżącym głosem.

— Niecodalej, jak trzy mile, — odpowiedziała — ale tamdotąd niepotrzebnie pójdziecie, bo ta pani, która w tym dworze mieszka, tak samo nie cierpi włóczęgów, jak ja, ani też nie sprzedaje wódek napojów.

— Ja nie żądam napojów, — odrzekł nieznajomy, — chciałbym tylko czemkolwiek się posilić. Nie obawiaj się mnie, pani: jestem rannym i zaledwie na nogach utrzymać się zdołam. Przyodziewek mój bardzo lekki, a na dworze okropne zimno. Powracam do rodziców moich w G., gdzie chcę wypocząć i z ran się wyleczyć; przed trzema dniami okradziono mię w podróży i teraz jestem ogołocony ze wszystkiego i pieszo dalszą podróż muszę odbywać. Proszę nie obawiaj się mnie pani, chciałbym tylko rozgrzać się nieco przy ogniu i posilić się, chociażby zeschłym kawałkiem chleba. Pan Bóg stokrotnie to wynagrodzi!

Przytem patrzał tak miłosiernie i rzewnie, że wzrok ten byłby prawie poruszył serce niemiłosiernej pani. Tymczasem przypomniała sobie w tej chwili, że już często w podobny sposób ją oszukiwano. Właśnie bowiem wojna się była skończyła, a każdy włóczęga i żebrak wydawał się za rannego wojaka, którego w drodze okradziono. Jeden, któremu niedawno temu dała jałmużnę, wlókł się dalej, opierając się na szczudłach, aż gdy sądził, że nikt go już nie widzi, wziął szczudły na ramiona i zdrów i wesoły szedł sobie dalej. To wszystko widziała ona z okna górnego piętra i postanowiła sobie mocno, nie n e dawać odtąd żebrakom, ponieważ tak często ją oszukiwano.

Rzekła więc nieszczęśliwemu, że niezawodnie dosyć ma pieniędzy do dalszej podróży i że chodzi mu tylko o to, aby noc mógł w jej domu przepędzić, zrabować dom i ile możności ją zamordować. Kazała mu zatem, iść sobie dalej.

W tej chwili nadeszła siostrzenica Ludwika, która w kuchni była zatrudniona, i giestami

błagała ciotkę, aby nieszczęśliwego nie odpychała, ale ta pozostała niewzruszona i rozkazała wędrowcowi, aby się natychmiast wynosił.

Boleśnie wzdychając oddalił się biedak, ale zaledwie kilka kroków postąpił na zmarzłym śniegu, powrócił i zapukał po raz trzeci. Gdy pani domu drzwi otworzyła, zaledwie się trzymał na nogach; twarz jego jeszcze była bledszą.

— Co za zuchwałość! — zawołała dama.

On na nią spojrzał błagalnie i rzekł:

— Pani, mam matkę w G. i nic o siebie mi chodzi, ale o nią; dla niej chciałbym to życie zachować — — aby ją ujrzeć. Jeżeli tę noc będę zmuszony przepędzić na dworze, już jej w tem życiu nie zobaczę, a ona straci ostatnią podporę!

— To tak każdy mówi, że spieszy do matki, — była odpowiedź nielitościwej kobiety. Niewiasty są czulsze i tkliwsze od mężczyzn, ale niewiasta nieczuła okrutniejszą jest od najdzikszego tyrana i z szatańską oziębłością patrzy na cierpienia bliźniego. Przypomniało jej się wprawdzie, że i ona ma syna przy wojsku, który teraz także pewnie powraca do domu, a kto wie, w jakiem jest położeniu — wszakże i ta myśl, wyraźny palec Boży, nie wzruszyła kamiennego jej serca.

— Jestem rannym, mogę panią przekonać — — —

— Ja ran wszystkich widzieć nie pragnę; toż i o rany można się postarać, aby na nich robić interesa. Zresztą ja czytam gazety i wyrobiłam sobie zasadę, że najlepszą jałmużną jest składka płacona regularnie do towarzystw dobroczynnych, ale włóczęgom z zasady nic nie daję, tem mniej w swoim domu nocuję. Proszę się wynosić!

I znowu nadbiegła Ludwika i błagała ciotkę, ale ta ją brutalnie odepchnęła i zatrzasnęła drzwi przed schorzałym i chwiejącym się ze słabości wędrowcem, który poszedł i więcej nie powrócił.

Pani domu usiadła przy kominku; z kuchni dochodziła ją woń potraw, przyrządzanych na wieczerzę — ale ona nie czuła tego apetytu, co przedtem, tylko niepokój wewnętrzny. Poprawiła ogień, zapaliła drugą świecę, zajęła się robótką, ale nie mogła się uspokoić. Wstała i poszła do kuchni. Przechodząc przez sień, ujrzała coś na ziemi. Był to mały kapciuch do tytoniu. Podniosła go, poczęła oglądać — i zadrżała. Kapciuch bardzo był podobny do tego, który dała synowi swemu, Karólowi, gdy odchodził na wojnę. Na obwódce z czerwonego safianu napisane było atramentem: „Kochanemu R. H. ofiaruje K. F.“, w środku było nieco tytoniu, luleczka i pognieciony liścik. Gdy list wyjęła i przeczytała nagłówek: „Kochany synu!“ — przeraźliwy wydała krzyk.

List ten pisany był własną jej ręką, kapciuch był własnością syna — nieznajomy wędrowiec miał więc z nim stósunki i wiedział niezawodnie, co się z nim dzieje.

Zaniepokojona do najwyższego stopnia, zawołała Ludwikę i rozpaczliwym wzrokiem na nią patrząc, zapytała, gdzie ten obcy wędrowiec? Czy już poszedł? Dokąd mógł się udać? itp. Dziewczynka przestraszona i pomieszana odpowiedziała, że trudno go teraz odszukać, że może gdzie znalazł jakie schronienie — największe zaambarasowanie widać było na jej twarzy, ale ciotka w swem przerażeniu nie zważała na to, lecz wybiegła przed dom, biegała po śniegu tu i tam, wołała w każdą stronę drogi za nieznajomym, słuchała — ale tylko echo z sąsiedniego lasu jej odpowiadało, wędrowca nie było ani śladu. Powróciła więc do domu, usiadła w swym pokoju i zaczęła gorzko płakać. Teraz to żałowała swej nieczułości i w duszy ślubowała Bogu, że odtąd każdemu nieszczęśliwemu poda litościwą rękę. — Wtem odezwały się na dworze dzwoneczki saneczek — sanki zatrzymały się przed domem. Ciotka wybiegła do sieni i nie zadługo była w objęciach syna. Co za radość dla matki! Nie był schorzałym ani cierpiącym, ale silnym i zdrowym i w oficerskim mundurze wcale się pięknie przedstawiał. I Ludwika nadeszła i witała się z bratem — ale bardzo była pomieszana i oczy miała zaczerwienione, jak gdyby od płaczu.

Podano wieczerzę, Karol zajadał smacznie, ale matka nic przełknąć nie mogła. Wciąż brzmiały jej w uszach chwiejne kroki wędrowca po zmarzłym śniegu i słaby jego głos, którym błagał o ciepły kącik i kawałeczek suchego chleba.

Po wieczerzy opowiadał Karól przygody wojenne, jakto nieraz wśród długich marszów upadali ze znurzenia, i nieraz przez całą dobę nie mieli co włożyć w usta i najdokuczliwszy głód znieść musieli. Potem opowiadał jak życie jego było w niebezpieczeństwie: ścigany przez nieprzyjaciela, ciężko został raniony, ale towarzysz pochwycił upadającego i z niebezpieczeństwem własnego życia zaniósł go do obozu.

— Gdyby nie on, — dodał, — nie byłbym już więcej do was powrócił; jemu życie zawdzięczamy. Byliśmy potem nierozłączonymi towarzyszami, dzieliliśmy się żywnością i pomagaliśmy sobie wzajemnie, i jeżeli kogo szczerze kocham, to mojego Roberta — brat nie mógłby mi być droższym.

— I czemużeś go nie przywiózł? — zapytała matka. — Chciałabym mu chętnie okazać wdzięczność za ocalenie mi syna. Żadna ofiara nie byłaby mi za wielką. Napisz mu, aby nas odwiedził.

Ale Karól smutno potrząsł głową.

— Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje! Rannego wzięto do niewoli niewiem, co się z nim stało. Oddałbym wszystko, co mam, aby jemu dopomódz — czyniłem, co mogłem, aby się o nim dowiedzieć, ale dotychczas nie mam o nim żadnej wiadomości. Ma też nieszczęśliwą matkę, która go bardzo kocha — mieszka ona w G. — biedna kobieta!

Karólowi łzy stanęły w oczach — wstał i stanął przy kominku. Biedny odepchnięty wędrowiec stanął znowu przed oczami matki; dręczona wyrzutami sumienia, zapomniała

o szczęściu swem, że syn jej zdrowo powrócił. Naraz usłyszała:

— Ach Boże! Zkąd to się wzięło? — Karól trzymał w ręku ów kapciuch, który wędrowiec był zgubił.

— Zkąd to się wzięło? — zapytał niespokojnie. — Ten kapciuch dałem Robertowi w tym dniu, w którym mi życie uratował. Nie miałem nic lepszego, cobym mu mógł dać w upominku; ale on go przyjął i przyrzekł, że przez całe życie szanować go będzie jako drogocenną pamiątkę. Kto go tu przyniósł, matko? Matce zaćmiło się w oczach; drżała jakoby we febrze i ledwie się trzymała na nogach.

— Był tu włóczęga, który go niezawodnie zgubił, ale to nie mógł być twój Robert, jabym porządnego człowieka nie była wypchnęła za drzwi, rzekła w okropnym strachu. — Może on ten kapciuch ukradł. Był to wysoki, wysmukły mężczyzna, oczy miał niebieskie i jasne włosy. — Więcej mówić nie mogła.

Karól stanął jak wryty. Rozpaczliwy wzrok rzucił na matkę i zawołał:

— To był mój Robert! Głodny i ranny — ten który mi życie uratował, mój wybawca — a tyś go za drzwi na mróz i zawieję wypchnęła! O matko! matko! jakże tak kamienne mogłaś mieć serce!

— Karólu, wybacz mi! — zawołała z płaczem, — cierpiałam wiele, bardzo wiele! Żałowałam, ale za późno!

Karól wziął czapkę i zwrócił się ku drzwiom.

— Pobiegnę za nim, aż go znajdę, chociażbym na rękach go miał przynieść do domu.

Wtem zastąpiła mu drogę Ludwika.

— Bogu dzięki, — rzekła, — ja go uratowałam. Ciotko, przez cały czas drżałam z obawy, nie wiedząc, co ty na to powiesz. Nie mogłam na to patrzeć, aby ten nieszczęśliwy szedł w tem powietrzu na śmierć niechybną, dla tego wpuściłam go do kuchni i zaprowadziłam ztamtąd do gościnnego pokoju. Tam zaniosłam mu świecę, część naszej wieczerzy, dałam mu rozgrzaną cegłę, aby sobie zmarzłe nogi ogrzał, i kazałam mu zaraz po posileniu się i rozgrzaniu położyć się w łóżko.

— Niech cię Pan Bóg za to błogosławi! — zawołała matka z Karólem.

— Powiedziałam mu, że tę noc będzie mógł tu spokojnie przepędzić, zamknęłam drzwi na klucz i schowałem go do kieszeni, aby mu nikt nie przeszkadzał.

Niepodobna opisać radości matki, która Bogu dziękowała, że sprawa tak pomyślny wzięła obrót, ani też radości dwóch przyjaciół, gdy się po długiem niewidzeniu po raz pierwszy uścisnęli.

Nie potrzeba już wiele dodawać. Robert przyszedłszy nieco do siebie, odjechał do matki; a gdy zupełnie zdrowie odzyskał i po raz wtóry zapukał do domu nielitościwej pani, aby poprosić o rękę Ludwiki, która go od śmierci, a ciotkę od winy zabójstwa uratowała, wtenczas go już nie odepchnęła, jak przy pierwszem spotkaniu, ale przyjęła z otwartemi rękoma. Od tego czasu matka Karóla ustawicz nie powtarza:

— W moim domu nie wolno pod żadnym warunkiem odpędzać od drzwi żabraka, lub puścić go bez jałmużny. Nie wątpię o tem, że pomiędzy żebrakami wiele jest próżniaków, kłamców i oszustów, ale teraz trzymam się tej zasady: lepiej dać wsparcie niegodnemu żebrakowi, jak odmówić wsparcia temu, który istotnie potrzebuje; niechby każdy pamiętał na słowa Zbawiciela: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili.

* * *

Co więc czynimy dla ubogich, to Pan Jezus tak przyjmuje, jak gdybyśmy Jemu to uczynili. To przekonanie już samo wystarczyć powinno do zbierania sobie zasług w niebie i ratowania bliźnych w nędzy, która osobliwie wśród obecnej zimy, biednym tak srodze daje się w znaki. Wspomnijcie, kochani czytelnicy, na Górny Ślązk, gdzie najokropniejssa nędza, głód straszliwy i brak przyodziewku i ciepłego zakątka dręczy nieszczęśliwą ludność, wystawioną na pastwę zarazy głodowej i bolesnej śmierci. Tam potrzeba pomocy, a pomocy spiesznej. Dlatego nie cofajcie ręki waszej i bądźcie miłosierni dla Zbawiciela w braciach Jego, biednych górnoślązakach, pamiętni na słowa Jego: „cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili."

Bohater w habicie.

W złowrogiej krainie Anamu, w czasie wojennym, okręt nasz, ciężki pancernik, od kilku już tygodni stał na posterunku w zatoce, niedaleko od wybrzeża. Z lądem sąsiednim nie utrzymywaliśmy żadnych stósunków. Mieszkańcy usposobieni wrogo, lub nieufni, kryli się po wioskach lub lasach.

Straszliwy upał spływał na nas z pochmurnego, czarnego nieba, po którem płynęły ciężkie ołowiane chmury.

Pewnego poranku, gdy stałem na pokładzie, jeden z majtków zbliżył się, meldując:

— Panie kapitanie! Z zatoki płynie prosto do nas łódź krajowa.

— Bonza... czy chińczyk — odparł marynarz, spoglądając w stronę lądu — kto go tam wie.

Łódź zbliża się powoli po ruchomej, ciepłej, jakby tłustej wodzie. W łodzi stojąc, wiosłowała młoda dziewczyna, o żółtej twarzy w czarnem odzieniu, wioząc nam tajemniczego gościa w odzieży anamskiej, w okrągłych okularach, jakie noszą bonzowie, lecz o dziwnej, wcale nie azyatyckiej fizyognomii.

Gość wszedł na pokład i powitał nas nieśmiało, z trudnością wyrażając się po francuzku.

— Jestem misyonarz z Lotaryngii — rzekł — ale już przeszło od trzydziestu lat mieszkam

[illegible] od wy-brzeża, w której wszyscy przyjęli chrześcijań-stwo. Chcę prosić dowódzcę okrętu, aby dał nam pomoc. Grożą nam zbuntowani krajowcy. Są już blizko naszej wioski. Jeżeli nie otrzymamy pomocy, wszyscy moi parafianie zostaną wymordowani.

Niestety, kapitan zmuszony był, odmówić prośbie misyonarza. Ludzie z bronią odesłani zostali do innej miejscowości, i teraz na okręcie pozostało tylko tylu marynarzy, ilu było potrzeba do obrony pancernika.

Rzeczywiście, nie mogliśmy nic zrobić dla tych biednych chrześcian — trzeba było zostawić własnemu losowi.

Tymczasem nadeszło południe z piekielnym upałem. Życie zamarło dokoła. Młoda dziewczyna z łodzią powróciła do lądu, misyonarz został z nami, smutny lecz bez słowa wyrzutu.

Przy obiedzie był małomówny, i zresztą trudno było z nim prowadzić rozmowę. Dopiero przy kawie, gdy zapaliliśmy cygara, ożywił się nieco i poprosił o francuzki tytoń do swej fajeczki, mówiąc, że od dwudziestu lat nie zaznał tej przyjemności.

Wreszcie, tłomacząc się zmęczeniem po długiej podróży, zasnął w fotelu.

Przyznam się szczerze, że nie bardzo uśmiechała nam się myśl, iż tego niespodziewanego gościa będziemy musieli trzymać u siebie kilka miesięcy, zanim się zdarzy sposobność odesłania go do kraju. To też jeden z nas oświadczył mu w imieniu dowódzcy:

— Ojcze, pokój dla was przygotowany. Rozumie się, że zostaniecie u nas, dopóki nie będziemy mogli wysadzić was na ląd w miejscu bezpiecznem.

Zdawało się z początku, że nie rozumie tego, co doń mówiono. Dopiero po chwili odrzekł:

— Ależ... nie... czekam na nadejście wieczoru i wtedy poproszę panów, abyście mnie odesłali małą łódką w głąb zatoki. Zanim noc zapadnie, zdążę dopłynąć do lądu...

— Do lądu? A co będziecie ojcze robili na lądzie?

— Jakto co? Powrócę do swej wioski! — rzekł z zadziwiającą prostotą. — Nie mogę tu spać myśląc o tem, że tam moi biedni chrześcianie pozostali sami i lada chwila mogą być okrutnie zamordowani. a ja nawet nie będę przy nich, by ich pocieszyć i dodać im ducha.

— Jednak i wam, ojcze, grozi tam śmierć taka sama. Jeśli tamtych zabiją, nie możecie liczyć na to, aby was oszczędzono.

— Rozumie się... — odparł ze strasznym spokojem dawnych męczenników. — Dziesięciu parafian moich czeka na mnie na wybrzeżu morskiem i razem w nocy wyruszymy do wioski... Dziś z pewnością będzie napad... ale, niech się dzieje wola Boska...

Wiedzieliśmy, że ten człowiek wraca na niechybną i przytem straszną męczeńską śmierć, jakiej mu nie oszczędzą fanatyczni i okrutni chińczycy. Usilne namowy nasze, aby pozostał na okręcie, pozostały bez żadnego skutku. Opierał się uporczywie, stanowczo ze spokojnem oburzeniem, bez gniewu.

— Przecież to ja ich nawróciłem — mówił — i panowie chcecie, abym ich opuścił, gdy cierpieć będą za wiarę? Przecie to dzieci moje!...

Z prawdziwem wzruszeniem dyżurny oficer wydał rozkaz, aby przygotowano łódkę i odwieziono go na ląd. Wszyscy żegnaliśmy misyonarza serdecznym uściskiem.

A on zawsze spokojny, skromny, prosty, oddał nam list do przesłania krewnemu w Lotaryngii, wziął trochę tytoniu francuzkiego i odpłynął.

Wieczór zapadał. Długo staliśmy na pokładzie i patrzeliśmy na oddalającą się łódź, unoszącą po ciężkiej, ciemnej wodzie, tego apostoła, który z taką prostotą szedł na męczeństwo...

ROZMAITOŚCI.

Ona się nie ogląda.

— Tyle razy ci mówiłem, żebyś mi się za chłopcami nie oglądała.

— Kiedy ja się nie oglądam, proszę mamy tylko mi się sama głowa za nimi odwraca.

* * *

Niemuzykalny.

— Podobno urządzili panu kocią muzykę?

— Właściwie nie jestem pewny, czy to była kocia muzyka, czy też serenada. Jestem bardzo mało muzykalny.

* * *

Wesołe przyjęcie.

— Cóż ty z wczorajszych imienin powracarz dziś dopiero około południa.

— Ach, bo wyobraź sobie, Sylwuś urządził taki wesołe przyjęcie, aż z trzech części.

— Jakto, nie rozumiem!

— A no, pierwsza część przyjęcie — w domu, druga była w knajpie, a trzecia na odwachu policyjnym. Właśnie wprost stamtąd powracam.

* * *

Usprawiedliwił się.

Pewien gamoń, przypatrując sie wystawie sklepowej, stłukł przez nieostrożność szybę, chcąc tedy uwolnić się od odpowiedzialności, pobiegł cwałem w ulicę, lecz na szczęście, został przytrzymanym przez dopędzającego go właściciela sklepu.

— Mam cię bratku, toś ty mi stłukł szybę.

— Ja, panie.

— A dla czegoś uciekał?!

— Bom się spieszył do domu po pieniądze, aby panu zapłacić za szkodę.

* * *

— Coby to było, panie Kasper, żeby tak w powietrzu pękł teraz ten balon?

— Coby miało być! „Stojałoby“ jutro we wszystkich gazetach.

Drukiem i nakładem Jana Teski w Bydgoszczy. Redaktor odpowiedzialny Jan Szmańda w Bydgoszczy.